

Australia - Szkoła w Sydney - Odcinek 2.

Dzielnica, w której mieliśmy swój port nazywa się Strathfield. W latach 50. i 60. pod adresem 19 Redmyre Road mieszkała rodzina Gibbów, więc stawiał tam swoje pierwsze muzyczne kroki legendarny zespół Bee Gees:)

Wstawaliśmy o 7:30, jedliśmy śniadanie i z tego peronu startowaliśmy z Gosią i Arkiem do collegu, aby do późnego popołudnia pobierać naukę języka angielskiego.



Komunikacja w Sydney jest różnorodna, a dwupoziomowe pociągi są najszybszym i popularnym środkiem transportu. Odjeżdżają co kilkanaście minut, a bilet można kupić na każdej stacji w kasie lub w automacie.

W drodze do szkoły mieliśmy tylko jedną przesiadkę i jechaliśmy niecałą godzinę. Wejście na perony.



Gdzieś po drodze, przy okazji...



Na trasie dołączali do nas szkolni znajomi Arka.
Tu Japonka Seiko, Arek i Gosia.



Wyjeżdżając do Australii otrzymujesz wizę turystyczną, która jest ważna rok. Aby podjąć legalną pracę, należy też wykupić co najmniej 12 tygodni nauki języka angielskiego w szkole, czyli na 3 miesiące. Władze dbają, by emigranci, którzy rozpoczynają tu nowe życie umieli się porozumieć. Słusznie uważają, że jeśli będą mieć obowiązek nauki języka, szybciej staną w obcym kraju na własnych nogach.

Ja, Arek, Seiko. W tle nowoczesne wieżowce Central Business District. Jesteśmy blisko portu Jackson, który jest największym naturalnym portem na świecie.



Wszystkie formalności związane z pracą i nauką można załatwić już w Polsce, choćby w biurze A.C.I.C, o którym wspominałam w poprzednim odcinku.

Po kilku dniach od rozpoczęcia nauki języka w collegu dokonujesz zmiany wizy na tzw. białą i możesz natychmiast podjąć pracę zarobkową, której jest tu pod dostatkiem. Tysiące ofert znajdziesz w polskich gazetach, które są tu drukowane, a agenci i pośrednicy - za dopłatą - są do Twojej dyspozycji cały czas. Miesiąc nauki w collegu kosztuje w granicach od 1200 - 1400 \$ w zależności od standardu placówki. Zdecydowałam się uczyć tylko przez lipiec, by przyjrzeć się z bliska, jak to wygląda na Antypodach. Jako pedagog ciekawa byłam metod i całokształtu przebiegu procesu dydaktycznego.

Już nazajutrz, po przylocie do Sydney, musiałyśmy zgłosić się w odpowiedniku naszego kuratorium, by dopełnić szkolne formalności. Zostałyśmy oficjalnie zapisane i przyjęte do collegu. Za kilka dni, od nowego tygodnia rozpoczynałyśmy z Gosią naukę.

Nasza szkoła była piękna. Powitała nas błyskiem lśniącej posadzki i ścianami pomalowanymi na wesole kolory. Wszędzie na korytarzach ustawione były wygodne kanapy i fotele, a niektóre podłogi wyłożono dywanowymi wykładzinami. Czułyśmy się tu jak w dużym młodzieżowym klubie. Polskie szkoły mogą pozazdrościć australijskim wystrojowi i nowoczesnej architektury wewnątrz.

Każdy dzień nauki zaczynał się wejściem do recepcji. Ta przestrzeń łączyła funkcję informacyjną ze strefą relaksu między wykładami. Dla nas, uczniów, to nie tylko był korytarz, ale też punkt spotkań i serce życia towarzyskiego. Bliskość recepcji gwarantowała, że w razie pytań pomoc administracji jest na wyciągnięcie ręki.

Kierując się do naszej klasy, mijamy kolorowe korytarze. Popatrz, jak tu ładnie...



Panująca atmosfera sprzyja zawieraniu międzynarodowych znajomości.



Recepcja - odpowiednik kantorka polskiej woźnej. Robi wrażenie.



Mamy tu chwile wytchnienia między zajęciami. Rozmawiamy o lekcjach, wymieniamy opinie na temat wykładowców, żartujemy i odpoczywamy. Pod każdym względem czuje się tu luz. Pada wiele zdań, słychać różne języki. Obie z Gosią mamy dobre miny, ale językowo nie czujemy się bezpiecznie.



Sekretariaty są tu dwa. W tym poniżej zrobiono nam zdjęcia potrzebne do identyfikatorów, bo nie każdy może ot tak sobie do tej szkoły wejść.



Drugi sekretariat służył do załatwiania bieżących spraw, jeśli oczywiście potrafiliśmy się wystawić po angielsku.



Każda klasa to był niewielki pokój około 4x4 metry niepodobny do polskiej sali lekcyjnej. Na jednej ze ścian wisiała tablica, na pozostałych obrazy, a wokół ustawione były krzesła z pulpitem do pisania notatek. Nauka odbywała od 9:30 do 16-tej. Ten czas był kategorycznie przestrzegany. Za opuszczenie lekcji groziły przykre konsekwencje: zgłoszenie do kuratorium a nawet kary pieniężne.

Japońskie dziewczęta z naszej klasy, a poniżej polski kolega.



Stołówka. Teraz jest tu pusto, bo trwa lekcja. Krzesła zapelnia się na przerwie uczniami, których język to dla mnie czarna magia. Nawet dla Gosi, która uczyła się angielskiego w gimnazjum i liceum był to potok niezrozumiałych słów. Zaś ja znam tylko nazwy zespołów i tytuły ich utworów. Klapa na całego:)



Szef bufetu, a ci chłopcy już są po zajęciach.



W stołówce podczas przerwy żywo toczą się rozmowy. Mało kto kupuje jedzenie w bufecie, prawie wszyscy oszczędzają. My też mamy swoje kanapki i picie.



Jeden z korytarzy.



Klasy liczyły po 10-14 osób z Europy i Azji. W naszej grupie oprócz mnie i Gosi były dwie osoby z Polski, a pozostałe z Francji, Słowacji, Japonii, Bangladeszu i Tajlandii - w wieku 17-30 lat. Byłam jedyną uczennicą w słusznym wieku na początku uważano, że jestem krewną jakiegoś ucznia.

Pierwszego dnia wszyscy nowicjusze, a więc też ja z Gosią, rozwiązywaliśmy test z angielskiego. Kompletnie nie wiedziałam, o co w nim chodzi. Gosia również miała problem. Obie oddaliśmy puste kartki.

Na podstawie wyników z testu, uczeń jest kwalifikowany do konkretnej grupy. Zazwyczaj wszyscy trafiają najpierw na poziom zerowy. Po tygodniu nauki nauczyciele oceniają postępy każdej osoby indywidualnie i albo zostaje w tej samej grupie na następny tydzień, albo przechodzi o stopień wyżej.

Nie wszystkim zależało, aby przenosić się do trudniejszej grupy. Taki awans wiązał się z wielogodzinną pracą ze słownikiem i angielską gramatyką. Większość młodzieży przyjechała do Australii, aby pracować i zarabiać, więc na naukę nie zawsze był czas.

Arek, po półrocznym pobycie w tej szkole, uczęszczał na poziom trzeci.

Nauka odbywała się w 1,5 godzinnych blokach. Jednym słowem lekcja była długa. Pomiedzy nimi były trzy przerwy: dwie po 15 minut i jedna godzinna na lunch.

Dodatkowo codziennie każdego ucznia obowiązywała 1 godzina na samokształcenie na terenie collegu. Wtedy zazwyczaj szliśmy do sal informatycznych, w których każdy miał swój komputer i do niego hasło oraz identyfikator.

Nie wiem jak inni, ale w moim i Gosi przypadku samokształcenie polegało na pisaniu maili do Polski, na które nikt nam od razu nie odpisywał, gdyż w polskiej szerokości geograficznej był wtedy środek nocy. Będąc tak daleko od domu, cenna była dla nas najkrótsza nawet wiadomość od rodziny czy znajomych. Podczas, gdy oni smacznie spali, my próbowaliśmy czuć się tu bezpiecznie.

Kolega Wojtek.



Sal komputerowych było kilka. To jedna z nich.



Gdybyśmy znali język na poziomie komunikacji, można by było zapytać „Skąd jesteś?“, „Jak długo mieszkasz w Sydney?“, „Gdzie pracujesz?“ – zwyczajnie nawiązać koleżeńską relację. Jednak to było dla mnie i Gosi niemożliwe.

Druga sala komputerowa była nieco mniejsza.



Kolejna sala z komputerami.



Materiały dydaktyczne otrzymaliśmy w szkole. Każdy uczeń dostawał segregator z nazwą collegu, w którym znajdowały się kartki A4 z ćwiczeniami gramatycznymi i tekstami piosenek.

Na wszystkich zajęciach sprawdzana była frekwencja. Wagary raczej nie wchodziły w rachubę, a jeśli, to były sporadyczne. Zresztą jaki miałyby sens, skoro tyle pieniędzy płacono się za naukę.

Absencja na dwóch zajęciach w tygodniu powodowała konsekwencje do skreślenia ucznia włącznie, co przede wszystkim uniemożliwiło kontynuowanie legalnej pracy. Młodzi ludzie przyjechali do Australii, by zacząć nowe życie. W swoim kraju nie widzieli dla siebie perspektyw, a Antypody kusiły atrakcjami, egzotyką i bogatym rynkiem pracy.

Nauka wyglądała czasem komicznie. Były tu osoby, które wcześniej uczyły się angielskiego kilka lat i tacy jak ja, czyli wcale. Na lekcjach nie było ważne, jak długo ktoś się uczył, ale co teraz umie.

Ogromną barierę dla nas stanowił już sam fakt, że choć byliśmy z Europy, to jednak różnych narodowości, więc nawet na przerwie nie mogliśmy po ludzku porozmawiać. Dodatkowo dla Azjatów ogromną trudnością była nieznanomość europejskiego alfabetu. Musieli pokonywać więcej niż my przeszkód w przyswajaniu angielskiego. Na szczęście każdy z nich, miał podręczny ogólnonarodowy translator, który w mgnieniu oka zamieniał im angielskie wyrazy na japońskie. Przydatne cacko dla wszystkich początkujących w nauce obcych języków i podróżujących po świecie.

Każdego dnia starałam się pilnie słuchać, co mówią do mnie nauczyciele i przy tej okazji, mając duże dydaktyczne doświadczenie, obserwowałam ich metody pracy. Z czasem doprowadzały mnie one do białej gorączki i moja motywacja do nauki malała z dnia na dzień. Na dodatek tyle było jasnego dnia, ile byłam w szkole, a do domu wracałyśmy z collegu, gdy już zapadał wieczór.

Co to będzie, co to wyjdzie z tej nauki za ciężkie dolary:) - zastanawiałam się każdego lipcowego dnia.



Gosia była szczęśliwa, bo choć jeszcze nie nawiązywała kontaktów, to obracała się w kolorowym towarzystwie.

Naszą grupę prowadziło na zmianę dwóch nauczycieli - Bruce i Lidia.

Po lewej Bruce oraz Gosia pomiędzy Japończykami. Gosia pochodzi z małej miejscowości, świata też niewiele widziała, więc Sydney i ta szkoła to był dla niej przeskok w kosmos.



Tu Lidia. Była zawsze solidnie przygotowana do zajęć. Starła się bardzo i uczyła nas angielskiego poprzez zabawę.



Bruce mniej się przykładał do dydaktycznej pracy, ale za to miał duże poczucie humoru. Dzielił nas na 2-3 osobowe grupki i zadawał temat do dyskusji, na przykład „Opowiadamy sobie o naszych marzeniach”. Ale jazda. Czy sobie taką rozmowę wyobrażasz? Jeśli jeden chciał o coś drugiego dopytać, nawijał mu cały czas po angielsku, na dodatek ze swoim narodowym akcentem. Rozumiałam tylko: yes i thanks. Nikt nie oponował, choć podobnie niewiele jak ja rozumiał, co ten Bruce do nas gada i czego od nas oczekuje.

W pierwszym tygodniu, siedziałam jak mysz pod miotłą, ale w drugim już nie wytrzymałam. Zaczęłam burczeć pod nosem, bo miałam już dość tej australijskiej pseudo metodyki. Zapłaciłam za naukę 1200\$ i uważałam, że nauczyciele powinni być na tyle elastyczni, aby poświęcać czas również tym, którzy język znali bardzo słabo, a zaufali w skuteczność edukacji w tej szkole uczniów na różnych poziomach.

Bruce niewiele się przejmował. Powiedział mi coś żartem i przechodził do dalszych ćwiczeń. Rozmawiali we dwójkę Polak z Japończykiem, Słowak z Francuzem itp. Zanim dogadaliśmy się pi razy drzwi, już należało kończyć ćwiczenie i Bruce zadawał następne. Masakra. Wszyscy z Polski, do których pisałam wtedy maile, pamiętają moje rozgoryczenie i bezsilność.

Kiedy przeliczyłam wydane dolary na złotówki, to mi wyszło, że w Polsce miałabym za te pieniądze 100 indywidualnych korepetycji.

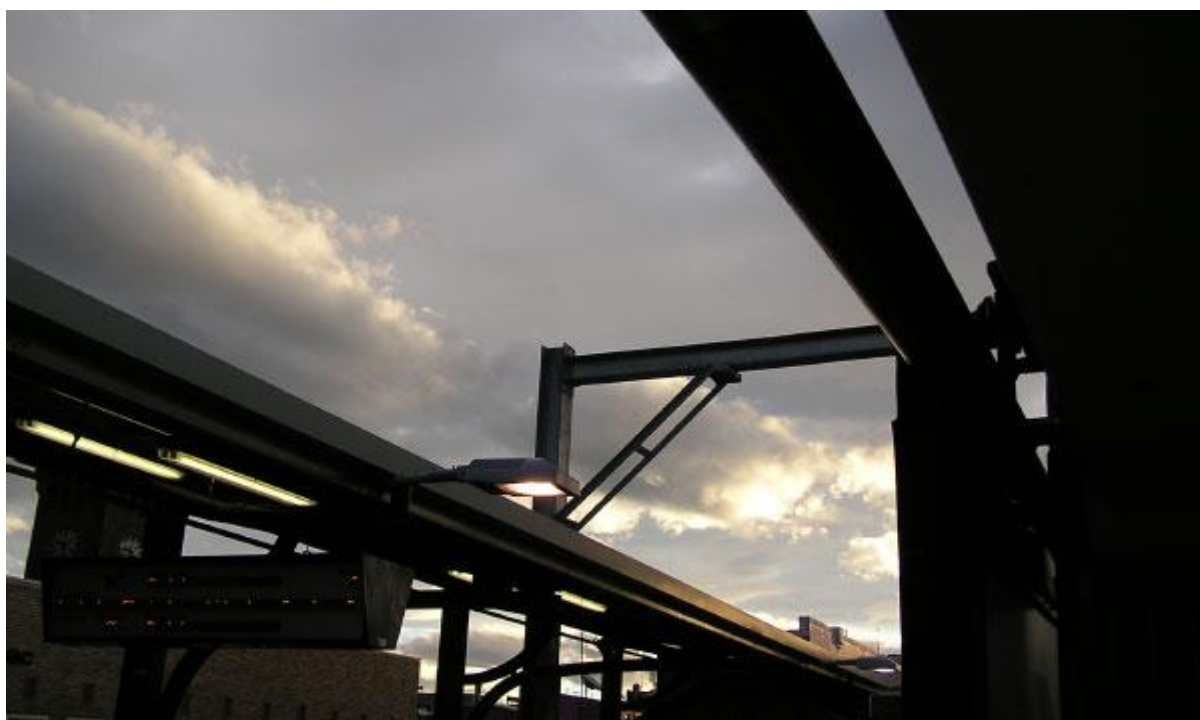
Ale cóż, szkolnych realiów zmienić tu nie mogłam i trzeba było znosić te stresy. Po minach innych uczniów widziałam, że popierają moje żale, ale nie mieli śmiałości przyznać się do tego. Bali się reakcji w stylu: jak się nie podoba, to do domu. Ja jednak nie miałam nic do stracenia, więc buntowałam się za siebie i za kolegów. Oni byli w innej sytuacji. Przyjechali tu na stałe, a szkoła była po to, aby mogli legalnie pracować i z czasem w końcu opanować język. Tydzień dłużej czy krócej w collegu nie robił im różnicy. Często przychodzili tu, aby stan liczbowy się zgadzał i kiedy tylko było możliwe, odsypiali na kanapach przepracowane noce. Kiedyś musieli, bo skoro w szkole byli od rana do 16-tej, pracowali od 17-tej do 1-szej w nocy, zanim dotarli do domu to była 2-ga, to ile im tych godzin na sen zostawało?



Ja mojego przyjazdu do Australii nie wiązałam z pracą, lecz z poznaniem tego ciekawego kraju. Nauka była tylko po drodze. Znam metodykę nauczania i oburzało mnie, że Bruce i Lidia nawet na zerowym poziomie realizowali program zaawansowany i nie przejmowali się, że ktoś większości tekstów nie rozumie. Po pierwszym tygodniu nauki, kiedy już się oswoiłam, było tak: gdy Bruce mnie o coś zapytał, a ja nie rozumiałam, to z anielskim spokojem odpowiadałam mu po polsku: nie rozumiem, co do mnie mówisz. On na to: what? A ja znowu po polsku: nie rozumiem, co do mnie mówisz. I wtedy albo mi dawał spokój i podchodził do następnej osoby, albo wręczał mi kolejną fiszkę, żebym sobie pooglądała obrazki. Paranoja. W tej szkole, dumnie nazywanej collegem, powinna być utworzona klasa nie z nazwy zerowa, ale taka, w której uczyliby się uczniowie niemający nigdy kontaktu z angielskim.

Pod koniec mojej edukacji stwierdziłam, że poziom mojego angielskiego śladowo podniósł się do góry. Dostałam za naukę w tej szkole o pięknej, matematycznej nazwie Alpha-Beta, certyfikat napisany na czerpanym papierze. Kursywą wpisane były same czwórki! Patrząc czasem na ten oficjalny dokument i nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Ale nie żałuję. Bez wiedzy o australijskim szkolnictwie, bo w innych collegach dla obcokrajowców było podobnie, mój obraz Australii byłby niepełny. Ponadto atmosfera wśród uczniów była życzliwa i bardzo sympatyczna. Tworzyły się tu międzynarodowe pary i co najważniejsze, w szkole było artystycznie i bardzo ciepło w porównaniu z naszym mieszkaniem.

Kiedy po południu wychodziłyśmy ze szkoły, zmierzchało. Zimne powietrze przypominało, by zapiąć kurtki. Arek jechał w jedną stronę do pracy, a ja z Gosią w innym kierunku na małe zakupy i do domu.



Kiedy o 18-tej otwieraliśmy drzwi mieszkania, na dworze było ciemno. Szykowałam ciepłe jedzenie, wskakiwałam pod kołdry i odrabiałam zadanie domowe z angielskiego. Często siadałam też do komputera i z termoforem na kolanach rozmawiałam z Polską.



Tak mijał lipiec. Poznawaliśmy wtedy Sydney tylko w drodze z domu do szkoły i z powrotem.



Czasem w weekend wychodziłyśmy na spacer po dzielnicy. Arek mógłby nam dużo pokazać, ale zaraz po szkole jechał do pracy i wracał skonany o 2-iej w nocy. A kiedy w weekend zdarzyło się, że akurat miał wolny dzień, dużą część dnia odsypiał. Jego praca w restauracji polegała na pomaganiu przy robieniu sałatek. Zarabiał 14\$ na godzinę i szybko spłacał kredyt zaciągnięty przez rodziców na jego wyjazd. Załatwił ten temat sprawnie. To bardzo pracowity chłopak.

Inni młodzi emigranci pracowali podobnie jak on. Ale nie narzekali, byli pozytywnie zmotywowani i wierzyli, że z czasem uda im się dobrze urządzić.



Australię masowo zasiedlają Japończycy. Są tu wszechobecni. Zdyscyplinowani, ambitni i pracowici jak mrówki. Władze niezbyt chętnie na to patrzą i promują Europejczyków. Robią to jednak w sposób taktowny.



Tak więc lipcowe wieczory spędzałyśmy raczej tylko w domu, szukając po kątach odrobiny ciepła. Trudno było poruszać się po obcym mieście. Zwiedzanie Sydney zaplanowałam dopiero na sierpień.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Renata Bednarz - Zielona Gałązka, mało jeszcze wiedząca, co przyniesie jej czas.

www.renatabednarz.pl

